

MICHAŁ PUŁASKI

Andrzej Michał Kobos [AMK] – *Jest Pan Profesorem historykiem...*

Michał Pułaski [MP] – Jestem historykiem. Zajmuję się historią dyplomacji XX wieku i historią stosunków międzynarodowych w drugiej połowie XIX wieku, historią Europy Środkowej i Południowej – regionu, który wyłonił się w tym kształcie po pierwszej wojnie światowej.

AMK – *Może ta historia przełamała się dwadzieścia lat temu... Mniej lub bardziej śmiałe działania opozycyjne rozpoczęły się w Polsce wcześniej, jeszcze w latach siedemdziesiątych. Czy brał Pan w nich udział?*

MP – Byłem w grupie, która w Uniwersytecie Jagiellońskim była zaledwie tolerowana, bez większych szans rozwoju, słowem na marginesie. Po habilitacji długo czekałem na docenturę.

Tutaj jednak trzeba odwołać się do specyfiki Uniwersytetu Jagiellońskiego i tamtych czasów. Byli tu ludzie, którzy kontestowali ówczesną rzeczywistość, usiłowali, na miarę możliwości, zachować dystans. Wśród nich tzw. Klub Wereszyckiego. Miałem zaszczyt i przyjemność do niego należeć. Tam m.in. omawialiśmy bieżące wydarzenia, sytuację polityczno-społeczną. Klub powiązany był towarzysko z ówczesnym „Tygodnikiem Powszechnym”. W tym sensie należeliśmy do czegoś w rodzaju opozycji.

AMK – *Kiedy wyłonił się ten Klub?*

MP – Po Październiku 1956 – gdy profesor Henryk Wereszycki przeniósł się z Wrocławia, a w Krakowie zjawił się także Wacław Felczak i zostały nawiązane kontakty z „Tygodnikiem Powszechnym” poprzez Mieczysława Pszona – wytworzyło się środowisko związane z profesorem Wereszyckim. Margines swobody był bardzo niewielki, perspektywa zmiany odległa, stąd możliwość nieskrępowanej wymiany myśli i poglądów miała ogromne znaczenie. Co więcej, trudno było sobie wyobrazić upadek dominującego systemu, wyjście spod dominacji Moskwy, inaczej jak tylko poprzez totalną i krwawą katastrofę. Były wprawdzie pewne oznaki jęgo korozji, jednak

szybszych zmian trudno było się spodziewać. Traktowano to bardziej jako marzenie niż realną przyszłość.

AMK – *W tamtych latach mówiło się co najwyżej o przyszłej „finlandyzacji” Polski.*

MP – Tak. Ewentualnej finlandyzacji. Mówiło się o rozmaitych rzeczach, gdzieś tam o „socjalizmie z ludzką twarzą”. Byli tacy, którzy przyjmowali to za dobrą monetę, jednak szybko okazywało się, że to płonne nadzieje.

Kiedys wypowiadałem się na temat roku 1968. 1968 to nie tylko Marzec i kampania antysemicka. To był także ważny etap planowanej, daleko idącej indoktrynacji środowiska uniwersyteckiego. Nastąpiło bardzo mocne „przykręcenie śruby”, były spotkania z działaczami partyjnymi, którzy nie pozostawiali złudzeń co do tego, że ideologizacja Uniwersytetu musi być radykalnie przyspieszona, bo dotąd była bardzo daleka od oczekiwań. Zawiedli i studenci, i kadra. W konsekwencji nabór nowych pracowników miał być związany z niemal obligatoryjną przynależnością partyjną. Rzeczywiście, na krótki czas wzrosło upartyjnienie i statystyczne „zaczernienie”, tak oczekiwane przez czynniki partyjne. Dodatkowym środkiem prowadzącym do tego celu były nominacje pracowników naukowych na tzw. marcowych docentów, z pominięciem habilitacji. Ostatecznie jednak i jeden, i drugi sposób na Uniwersytecie nie wypalił. Nabór był pozorny i, przy każdej nadarzającej się okazji, ci ludzie wymykali się partii. Koncepcja nowej kadry naukowej również nie przyniosła spodziewanego rezultatu. Kontestacja systemu była na Uniwersytecie całkiem widoczna.

AMK – *Czy Klub Wereszyckiego działał na zewnątrz, na przykład wśród studentów?*

MP – To była grupa, która spotykała się między sobą, ale ze względu na powiązania każdego z członków promieniowała również na zewnątrz. W stosunku do studentów także. Zajęcia prowadzone przez Wereszyckiego czy Felczaka miały wielką popularność. To były zajęcia w dużej mierze poza cenzurą. To też była specyfika Uniwersytetu Jagiellońskiego tego czasu. Nie wolno było pisać, ale to, co mówiło się na zajęciach, trudniej było ocenzurować. Na moim seminarium nie było tematów tabu. Te sposoby stosowali zresztą nie tylko członkowie Klubu, ale i wielu innych wykładowców naszego Instytutu Historii i nie tylko. Aby przekonać się, jak było to ważne i ile trzeba było prostować, wystarczy przejrzeć ówczesne podręczniki.

AMK – *Czy bywały jakieś groźne reperkusje?*

MP – Obecnie demonizujemy to donoszenie. Zapewne ktoś donosił, obserwował czy zapisywał. Jednak nie miało to tak tragicznych skutków,

jak np. zamordowanie przez Służbę Bezpieczeństwa Stanisława Pyjasa w 1977.

AMK – *Czy zetknął się Pan kiedyś ze Stanisławem Pyjasem?*

MP – Nie, nigdy. Bliższe związki – z natury rzeczy – miałem dopiero z NSZZ-em.

AMK – *Wróćmy, proszę, do problemu mówienia prawdy na zajęciach ze studentami.*

MP – Jak już wspomniałem, w dużym stopniu korzystano z możliwości mówienia prawdy, nie przejmując się zbytnio ewentualnymi konsekwencjami. Te konsekwencje jednak były, np. nie wyjeżdżało się za granicę (to się nie wyjeżdżało!), nie awansowało się (to się nie awansowało!). Była cała grupa profesorów, adiunktów i asystentów, którzy potrafili mówić prawdę.

AMK – *Jakie wrażenie wywoływało wtedy „mówienie prawdy” na młodych ludziach? Czy były to dla nich sprawy nowe? Czy odnosił Pan wrażenie, że studenci posiadali już pewną wiedzę, zapewne wyniesioną z domu, na tematy oficjalnie przemilczane?*

MP – Był swoisty głód takich informacji. O niektórych sprawach zapewne słyszeli w domu, ale – jak to się mówi – wiedzieli, że dzwoni, tylko nie wiedzieli, w którym kościele. Chcieli potwierdzić i zweryfikować swoje informacje. Czasem w dyskusji zadawali nawet prowokujące pytania – powie czy nie powie? Ale bez wątpienia często były to dla nich sprawy nowe.

AMK – *Późnym latem 1980 wybuchła „Solidarność”...*

MP – To jest bardzo dobre określenie, że „Solidarność” „wybuchła”. To szczególne lato 1980... Informacje o tym, co się działo, przenikały na początku bardzo skąpo, starannie tajone. Nie był to przecież czas telefonów komórkowych, bezpośredniej komunikacji. Drugim problemem było to, że dla szkół wyższych lipiec i sierpień to okres pusty: nie ma ludzi, pracowników naukowych i studentów, nie ma kontaktów. Jednak wrzesień nie był już „pusty”. We wrześniu 1980 wszystko się zaczęło. Przede wszystkim, z inicjatywy Ryszarda Łuźnego, wtedy jeszcze nie profesora, zaczęło się organizowanie...

AMK – *„Solidarności”...*

MP – Nie od razu. Na początku nie było jasne, co i jak robić. Nie byliśmy do tego do końca przygotowani. W dużej mierze była to improwizacja. Łuźny, oczywiście, opowiadał się za „Solidarnością”, ale to, czy „Solidarność” ma być związkiem ogólnokrajowym, obejmującym wszystkich, czy podzielonym na branże – dopiero się kształtowało. Ścierały się różne koncepcje, m.in. zastanawiano się, czy nie dałoby się dostosować do nowej roli Związku

Nauczycielstwa Polskiego. Szybko jednak okazało się, że ZNP jest w silnej opozycji wobec rysujących się zmian i pomysł upadł, ale pojawił się następny: związku branżowego łączącego wyższe uczelnie. I ten został rychło zaniechany. Zwyciężyła koncepcja utworzenia powszechnej „Solidarności”. To właśnie działo się we wrześniu 1980. Wtedy to w Uniwersytecie Jagiellońskim wybuchła „Solidarność”.

Ta „Solidarność” była jeszcze bardzo rozczłonkowana, nie w sensie ideologicznym, ale organizacyjnym. W ramach instytutów, wydziałów, placówek związanych z UJ (np. Biblioteka Jagiellońska, administracja itd.) powstawały organizacje „Solidarności”, rejestrując się odrębnie w miejskim Komitecie „Solidarności” przy ul. Karmelickiej. Dzięki temu nabierały oficjalnego statusu, wchodziły do NSZZ „Solidarność”, tj. do „Solidarności” ogólnopolskiej, chociaż ta też nie była jeszcze formalnie zarejestrowana przez sąd.

Przez cały ten czas działał Uczelniany Komitet Założycielski na Uniwersytecie Jagiellońskim. Dochodziło do kontaktów między poszczególnymi wydziałami i komórkami Uniwersytetu. Zawiadywał tym wszystkim Ryszard Łużny. W skład Uniwersyteckiego Komitetu Założycielskiego wchodził przewodniczący wydziałowych komitetów założycielskich. Ja zostałem wybrany na przewodniczącego Komitetu na Wydziale Filozoficzno-Historycznym.

Spotykaliśmy się, trzeba było wypracować jakiś program, co i jak dalej. Tu oczywiście wchodziły w grę partykularne interesy poszczególnych grup, wydziałów itd. Należałem do tych, którzy opowiadali się za stworzeniem „Solidarności” ogólnouniwersyteckiej, kopiującej niejako strukturę uczelni. Komisje Wydziałowe wybierały Komisję Uczelnianą, a ta swoje prezydium i przewodniczącego. Ostatecznie przyjęto takie rozwiązanie. Tymczasem jednak Komitet Założycielski musiał niemal dosłownie wywalczyć sobie status oficjalnej działalności (na podstawie porozumień gdańskich) u władz uniwersyteckich, dalekich wtedy od aprobaty nowego stanu rzeczy, stawiających Komitetowi tyle przeszkód, ile mogły.

AMK – *Rektorem Uniwersytetu Jagiellońskiego był wówczas profesor Mieczysław Hess...*

MP – Tak, w 1980 rektorem był profesor Mieczysław Hess (on sam nie odegrał większej roli) i jego ekipa. Sekretarzem partii na UJ był Jerzy Jaskiernia, nastawiony bardzo negatywnie do „Solidarności” (po Jaskierni przyszedł Emil Kornaś, który udawał, że można z nim rozmawiać). Wywalczenie statusu oficjalnej działalności trwało jakiś czas. Stosowny opór stawiał też ZNP. Ogólnopolska „Solidarność” jeszcze nie była zarejestrowana, a wysiłki zmierzające w tym kierunku się ślimaczyły.

Dopiero kiedy po rejestracji „Solidarności” uzyskaliśmy możliwość pełnoprawnego działania, powstały warunki do przeprowadzenia wyborów i ukonstytuowania się Komisji Uczelnianej i całej struktury. Dokonało się to w styczniu 1981. Wtedy też miałem zaszczyt zostać wybranym na przewodniczącego Komisji Uczelnianej.

AMK – *Zanim w Polsce wprowadzono stan wojenny, blisko 11 miesięcy działała Komisja Zakładowa „Solidarności” Uniwersytetu Jagiellońskiego. Co uważa Pan za najważniejsze z tego, co udało się osiągnąć przed stanem wojennym?*

MP – „Solidarność” na Uniwersytecie stała się organizacją bardzo liczną, niemal powszechną. Ludzie spontanicznie, z ogromnym entuzjazmem i przekonaniem, angażowali się w przebudowę systemu. Pracowali społecznie, często po kilkanaście godzin dziennie, „w świątek i piątek”. Uczestniczyliśmy solidarnościowo w akcjach krajowych (np. o wolne soboty – dziś to wydaje się banalnie oczywiste) czy w popieraniu postulatów innych środowisk uczelnianych lub branżowych. Przede wszystkim jednak koncentrowaliśmy się na sprawach naszej Uczelni, nastąpiło niemal stuprocentowe przejęcie wpływów na Uniwersytecie przez „Solidarność”.

AMK – *Łącznie z rektorem UJ, na którego wybrany został profesor Józef Andrzej Gierowski...*

MP – To następny etap. Wcześniej, kiedy Komisja Uczelniana miała już duże znaczenie, rozpoczęły się prace nad zmianą ustawy o szkołach wyższych, by przywrócić im autonomię. Miały one ogólnokrajowy zasięg. Te zamiary usiłował storpedować ówczesny minister szkolnictwa wyższego – Górski. Dążono więc do jego dymisji. Dotąd taka akcja nie miała precedensu, trzeba więc było skoordynować zmierzające do tego celu działania. Szczególnie spektakularnie zachowali się tu studenci łódzcy, plakatuując zdjęcie ministra, eksponując jego spojrzenie i opatrując cytatem z popularnej wówczas piosenki Jana Pietrzaka: „Czy te oczy mogą kłamać?”. Ostatecznie cel został osiągnięty. Natomiast wkład Uniwersytetu Jagiellońskiego był zwłaszcza merytoryczny, co miało ogromne znaczenie dla ostatecznego kształtu ustawy. Warto podkreślić udział naszych wybitnych prawników w tych pracach.

Trudno tu wymienić wszystkie podejmowane wtedy inicjatywy. Nie mamy na to ani miejsca, ani czasu. Może jeszcze kiedyś nadarzy się okazja. W skrócie wymienimy więc niektóre, jak np. akcję zapisywania tzw. białych plam. To odnosiło się zwłaszcza do humanistyki. Pojawiały się publikacje, nie było już przeszkód, by mówić o tym na zajęciach ze studentami. Trwała akcja tzw. latających uniwersytetów w szkołach, kościołach; byliśmy zapraszani do komisji „Solidarności” Huty im. Lenina, a oni do nas, zawsze nas znacząco wspierali.

W takiej atmosferze w maju 1981 odbyły się wybory nowych władz Uniwersytetu Jagiellońskiego. Wtedy właśnie „Solidarność” prawie że w stu procentach przejęła władzę w Uniwersytecie. To dla Komisji Uczelnianej było – rzekłbym paradoksalnie – dość dotkliwe, ponieważ z Komisji do władz uniwersyteckich przeszło wielu wybitnych ludzi, zostali jednak godnie zastąpieni. Sam rektor, profesor Józef Andrzej Gierowski, i prorektorzy: profesorowie Andrzej Kopff, Ali Gołębiewski, Jan Błoński i Maria Sarnicka-Keller wywodzili się z „Solidarności”. Niestety, dziś już nikt z tej ekipy nie żyje. Wracając jednak do tamtych czasów, należy powiedzieć, iż zmiany poszły znacznie dalej: wszystkie dziekanaty, właściwie większość instytutów, znacząca liczba zakładów znalazły się pod kierownictwem ludzi związanych z „Solidarnością”. Teraz łatwo o tym mówić, ale wtedy bynajmniej nie było to proste do wykonania.

AMK – *Czy w 1981 roku profesor Gierowski miał kontrkandydatów, zarówno ze skrzydła czerwonego, jak i solidarnościowego?*

MP – Ze skrzydła czerwonego nie. Skrzydło czerwone już nie liczyło się i w ogóle nie występowało w tej rozgrywce. Natomiast miał kontrkandydata ze skrzydła solidarnościowego. Był nim profesor Andrzej Kopff. W trakcie wyborów szanse obu były przez pewien czas wyrównane. Wybory wygrał profesor Gierowski (a w 1984 na drugą kadencję). Muszę tu powiedzieć, że wiązało się to z tym, co dzisiaj trudno sobie wyobrazić: profesor Kopff prowadził swą kampanię zgodnie ze wszystkimi zasadami *fair play*. Po wyborach przyjął propozycję Gierowskiego objęcia stanowiska prorektora, lojalnie z nim współpracując.

AMK – *Czy nawiązano kontakt z komisjami „Solidarności” innych krakowskich i niekrakowskich wyższych uczelni, przykładowo z Uniwersytetu Warszawskiego albo Uniwersytetu Wrocławskiego?*

MP – Tak. Z Wrocławiem, Warszawą, ale także z Łodzią, Poznaniem czy Toruniem, zwłaszcza podczas prac nad ustawą, o czym już wspominałem. Przede wszystkim jednak współpracowaliśmy z uczelniami krakowskimi, często bardzo owocnie dążąc do wypracowania wspólnego stanowiska.

AMK – *Czy Komisja Zakładowa „Solidarności” Uniwersytetu Jagiellońskiego miała kontakt z komisjami zakładowymi „Solidarności” zakładów przemysłowych, chciałoby się powiedzieć – w najbardziej dodatnim znaczeniu tego słowa – robotniczych?*

MP – Tak. Bardzo to sobie ceniliśmy. Mieliśmy zwłaszcza kontakty – jak już wspominałem – z Hutą im. Lenina (swoją drogą, jakim paradoksem okazało się to imię). Huta udzielała nam bardzo zdecydowanego, silnego poparcia. Inną okazję do takiej współpracy stwarzał nasz udział w działaniach Regionu Małopolskiego „Solidarności”, gdzie mieliśmy swoich przedstawicieli.

Szczególnego znaczenia nabierało to w warunkach zagrożeń wynikających z sytuacji ogólnopolskiej, np. wypadków bydgoskich w marcu 1981 i przygotowaniach do strajku generalnego. Uniwersytet był do tego strajku przygotowany i zdeterminowany, a przecież pamiętać trzeba, że nasze wewnętrzne zmiany dopiero się dokonywały, do wyborów rektorskich było jeszcze daleko, dotychczasowe władze nie ustępowały łatwo pola... – ale to temat na odrębną rozmowę.

AMK – *Wtedy panowało poczucie ogromnej mobilizacji społecznej. Później już nigdy nie było takiej mobilizacji. Wydaje mi się, że w momencie odwołania strajku generalnego coś w ludziach pękło.*

MP – Czy pękło? I w których ludziach? W odniesieniu do Uniwersytetu nie mam takiego wrażenia. Sporo było przed nami i sporo udało się zrealizować. Natomiast uświadomiliśmy sobie ciężar spoczywającej na nas odpowiedzialności: za Uniwersytet, za np. Collegium Maius, za Bibliotekę Jagiellońską itd. I przede wszystkim za ludzi.

Potem wielokrotnie mieliśmy do czynienia ze strajkami okupacyjnymi studentów. Wszystko dobrze wyglądało na początku, ale w miarę upływu czasu, kiedy stłoczeni w jednym gmachu przez 24 godziny na dobę musieli jeść, pić, spać, korzystać z urządzeń sanitarnych – wtedy dochodziła do głosu proza życia. Brakowało połączenia ze światem zewnętrznym, łączności nie było żadnej. To byli młodzi ludzie, denerwowali się, nie mieli kontaktu z rodzinami. Szczęśliwie nie doszło do pacyfikacji, czego doświadczyły inne uczelnie.

AMK – *Był Pan wśród tych młodych ludzi. Czy miał Pan nad nimi jakąś kontrolę?*

MP – Oczywiście, że byłem, ale nie po to, by ich kontrolować. Oni mieli swoje, bardzo sprawne kierownictwo, byli samodzielni i samorządni. Z nim mieliśmy bliskie kontakty. Dla strajkujących studentów organizowane były wykłady i spotkania. Przychodzili nawet ludzie z zewnątrz, przypominam sobie np. recital Jana Tadeusza Stanisławskiego – śpiewał przez pół nocy.

Wróć jeszcze do kwestii odpowiedzialności za Uniwersytet – to przecież dobro narodowe, nie można nim szafować, lekko rzucać na szalę.

AMK – *Już raz rzucono miasto i milion ludzi na szalę w 1944 roku.*

MP – Więcej już rzucać na szalę nie było można. Choć zdarzali się i tacy, co uważali, że dobrze by było... Tu cena wydawała się absolutnie za wysoka, lepiej coś ocalić, niż stracić. Dodatkowo w podświadomości pobrzmiewało tragiczne wspomnienie pamiętnej Sonderaktion, ale nie sięgamy w tak odległą przeszłość; tu wystarczy wspomnieć o wyczynach milicji i ORMÓ z marca 1968.

AMK – *Czy w „Solidarność” Uniwersytetu Jagiellońskiego panowało wtedy poczucie zagrożenia przez Służbę Bezpieczeństwa, czy SB starała się przetransformować w szeregi „Solidarność”?*

MP – Każdy, kto żył w czasach PRL-u, musiał zetknąć się ze starannie pielęgnowaną przez SB aurą jej wszechmocy i wszechobecności. Wielu z nas bez wątpienia pozostawało w sferze zainteresowań SB, było inwigilowanych – a mimo to działało. Wiedzieliśmy, że jest to przeciwnik, nawet groźny; oczywiście należało to brać pod uwagę, ale nikt się tym specjalnie nie przejmował. Nie prowadziłem żadnych badań na ten temat w Instytucie Pamięci Narodowej, znam tylko jego publikacje. Wynika z nich, że wiadomości, jakimi dysponowali, były bardzo powierzchowne, często nieprecyzyjne lub wręcz błędne. Wydaje się, że materiały zgromadzone przez SB trzeba starannie i wnikliwie weryfikować.

AMK – *Pękła wówczas bariera strachu?*

MP – Z jednej strony pękła bariera strachu, a z drugiej prowadziliśmy działalność otwartą, do pewnych granic, oczywiście. To, co miało być tajemnicą, jak się okazało, nie wychodziło na zewnątrz.

AMK – *Niektórzy zdawali sobie sprawę, że to może skończyć się czymś takim, co rzeczywiście stało się 13 grudnia 1981 roku. Podobno wcześniej została powołana rezerwowa Komisja Uczelniana UJ, która jednak nigdy potem nie podjęła działalności podziemnej.*

MP – A skąd Pan o tym wie?

AMK – *Od profesora Lucjana Suchanka.*

MP – Po wypadkach bydgoskich w marcu 1981, gdy oczekiwaliśmy na strajk generalny, byliśmy zdeterminowani, ale nikt nie wiedział, czym to się skończy. Odwołanie strajku przyszło w ostatnim momencie. Naszym atutem było działanie bez użycia siły, „militarnie” byliśmy bezbronni. Naprzeciw nas milicja, ZOMO, wojsko i to nie tylko polskie. Szanse wydawały się dramatycznie nierówne, choć z perspektywy czasu można tu, oczywiście, wprowadzać pewne korekty. Z założenia trzeba zawsze przyjmować wariant optymistyczny, ale trzeba być przygotowanym na ewentualne niepowodzenie. Zrobiono już tak wiele, że niepowetowaną stratą byłoby zaprzepaszczenie tego dorobku, doprowadzenie do tego, aby zaczynać ponownie od początku. Dąb powalony przez wiatr i burzę nie podniesie się, trzcina ugnie się, ale nie złamie i na powrót wyprostuje. Pewni ludzie są na pierwszej linii; jeżeli schodzą, to powinna być druga linia, a jeżeli druga linia także zejdzie, to powinna być trzecia.

Podjęliśmy takie kroki, powstał zarys tej drugiej Komisji, plan jednak nie został do końca zrealizowany. Do grudnia nie było takiej potrzeby. Stan

wojenny był całkowitym zaskoczeniem. Nikt go w tym terminie nie przewidywał, ale jakieś ślady tamtego myślenia pozostały. Komisja Uczelniana nie została zlikwidowana przez władze, jednak została przebudowana (nieco pomniejszona) i bardzo sprawnie przeszła do tajnej działalności. Tajna Komisja Zakładowa zesłała w podziemie, pozostając równocześnie na zewnątrz – wszyscy chodzili po Uniwersytecie, klub „Convivium” tętnił życiem. Była to jednak maska, to, co ważne, działa się gdzie indziej. W skład Tajnej Komisji nie wchodził nawet profesor Łużny.

Przez cały okres stanu wojennego wielu, nie tylko z SB, starało się rozszyfrować jej skład – i się nie dowiedziało. Dopiero gdy skończył się stan wojenny, przyszedł na nasze posiedzenie profesor Łużny i powiedział, że nigdy nie spodziewał się, iż spotka akurat te osoby.

AMK – *To jest bardzo interesujące: rusycystyka – siłą rzeczy, choć na polu językowym czy kulturalnym – jednak związana jest z Rosją. I na tej rusycystyce profesor Ryszard Łużny, a także dwie inne osoby, członkowie Tajnej Komisji, profesorowie Lucjan Suchanek i Anna Rażny.*

MP – Dodałbym jeszcze do tego grona, choć nie była członkiem Tajnej Komisji, Jagę Mazurkiewicz. Cóż, po prostu byli dogłębnymi znawcami tej problematyki, doskonale wiedzieli, czym była Rosja i Związek Radziecki.

AMK – *Wprowadzono stan wojenny. Kilka zaledwie osób z Uniwersytetu Jagiellońskiego internowano.*

MP – Były to bardzo sporadyczne przypadki, niemal na własne życzenie. Na krótko został aresztowany Zbyszek Fijak, który jak zawsze bardzo ekspresyjny, samochodem z bibułą uciekał przez Nową Hutę. Internowano profesora Jacka Balucha, ale nie miało to bezpośredniego związku z Uniwersytetem.

Wydaje się, że zbiegiem szczęśliwych okoliczności udało się tę wielką „Solidarność” schować, choć pewnie trochę ludzi odpadło, wycofało się w sposób naturalny. Jednak jej podstawowy zrąb został zachowany.

AMK – *Wracając do Pańskiej osoby: 13 grudnia 1981 wprowadzono stan wojenny. Siłą rzeczy, będąc przewodniczącym Komisji Uczelnianej NSZZ „Solidarność” na Uniwersytecie Jagiellońskim, był Pan osobą jawną, publiczną. Czy musiał Pan się wycofać?*

MP – Komisja Uczelniana, przeorganizowana w Tajną Komisję, działała najpierw w wieży jednego z kościołów, potem w rozmaitych prywatnych mieszkaniach; wśród tych osób (obok wcześniej wymienionych) byli: Zygmunt Wasylewski, Stanisław Siess-Krzyszkowski, Ewa Miodońska-Brookes, Barbara Niemiec, Anna Krzysztofowicz, Zbigniew Doda, Jan Schmager, Anna Rażny.

AMK – *Czy Pan, będąc niejako na celowniku, również działał w Tajnej Komisji?*

MP – Od samego początku do samego końca. Władze wiedziały, kim byłem, ale jakoś udało mi się to zrobić... Najlepszym dowodem na to, że ten celownik nie był precyzyjny, jest to, iż Tajna Komisja działała i nikt z niej nie wpadł. Nie mogłem, naturalnie, występować na zewnątrz. Profesor Kazimierz Godłowski był tym, który w ograniczonym stopniu występował na zewnątrz, np. utrzymywał kontakty z rektorem. Natomiast ja spotykałem się z profesorem Gierowskim w jego mieszkaniu przy ul. Łokietka. Ale nawet on do końca nie wiedział o mojej roli ani o składzie Tajnej Komisji.

AMK – *Powstanie Tajnej Komisji było zapewne płynnym procesem, jej utworzenie nie jest związane z żadną konkretną datą.*

MP – Oczywiście, że nie z konkretną datą, ale pewne decyzje i działania zostały podjęte już 13 grudnia. Założeniem strategicznym było, by nie dać się rozbić i zlikwidować, ocalić możliwie najwięcej. W następnych dniach podziemna „Solidarność” zaczęła się bardzo szybko kształtować. Tu można wspomnieć, że w tych początkach sytuacja Uniwersytetu była skomplikowana. W sali nr 26 Collegium Novum urzędowały ocalałe resztki Regionu Małopolskiego, tu szukali kontaktu ci, co zdołali opuścić Gdańsk.

AMK – *A przecież wydaje się, że można było łatwo zaobserwować, kto wchodzi i kto wychodzi z budynku, kto idzie do sali nr 26...*

MP – Wbrew pozorom nie było to takie łatwe. Z poprzednich strajków mieliśmy już jakieś doświadczenia. Przy wejściu do Collegium Novum starannie sprawdzano wchodzących, a w samym budynku, tak jak i na Plantach, mieliśmy swoich ludzi, obcy szybko wpadał w oko. Nie twierdzę, że sforsowanie ochrony było niemożliwe, ale co najmniej bardzo utrudnione.

AMK – *Rozumiem, że „Solidarność” na Uniwersytecie Jagiellońskim w sposób jakby naturalny stała się organizacją podziemną.*

MP – Można tak powiedzieć. Podziemna „Solidarność” miała duży wpływ na wszystko, co działo się w Uniwersytecie, na kolejne wybory rektorskie (na drugą kadencję profesora Gierowskiego, a potem dwukrotne elekcje profesora Aleksandra Koja, profesora Andrzeja Pelczara i znowu Aleksandra Koja), na wybory dziekańskie. Zaryzykowałbym przypuszczenie, że bez poparcia „Solidarności” żaden z rektorów by nie przeszedł. Tajna Komisja miała duży wpływ na życie Uniwersytetu.

Profesor Kazimierz Godłowski został wyznaczony przez Tajną Komisję do kontaktów z rektorem Gierowskim, miał swobodny dostęp do rektora, który przez cały czas podtrzymywał współpracę. Rektor miał ogromne zasługi w ratowaniu zagrożonych, osobiście się angażując, często dużym kosztem.

AMK – *Profesor Józef Andrzej Gierowski niedługo przed śmiercią powiedział mi, że dla niego „najważniejszym zadaniem było zachować, obronić to, co uzyskaliśmy w okresie «Solidarności»”.*

MP – To prawda. I ratowanie substancji. Błędów zrobił w gruncie rzeczy niewiele, mając bardzo trudną sytuację. Ten, o którym się mówi – zgoda na wybór do Sejmu PRL w 1985 – był bardziej wizerunkowy niż mający przełożenie na praktykę. Natomiast tego, co zrobił pozytywnego, było niesłychanie dużo. Gdyby nie dwie kadencje rektora Gierowskiego, Uniwersytet Jagielloński mógłby wyglądać zupełnie inaczej.

AMK – *Czy zechciałby Pan skonkretyzować, co robiła Tajna Komisja?*

MP – Uczestniczyła w życiu Uniwersytetu i miała na niego istotny wpływ. Kierowała wydawaniem prasy podziemnej, utrzymywała kontakty ze wszystkimi wydziałami. Jej struktura miała z jednej strony stosunkowo luźny charakter, pozostawiając szerokie pole do działań samodzielnych, ale była też i druga strona, która umożliwiała przepływ wszelkich informacji, w dół i w górę, bez większych przeszkód. Nie było oficjalnych posiedzeń, zebrań. Nasze spotkania nie były protokołowane. Więż jednak została utrzymana. Straty, jakie odnotowała „Solidarność” uniwersytecka, w gruncie rzeczy niewielkie, nastąpiły raczej w wyniku odsunięcia się i wyczekiwania niż przeciwdziałania. Chociaż i z tym mieliśmy do czynienia, choćby ze strony władz i ich agend. Tego wprawdzie można się było spodziewać, ale pojawiła się też kontestacja ze strony niektórych grup, np. ze środowiska starszej profesury. Patrzyli oni na „Solidarność” z dystansem, z pewnym niedowierzaniem, a co najmniej z ostrożnością.

Zdarzały się też akcje dość spektakularne, np. zakupy produktów na święta, co wywołało wzburzenie Związku Nauczycielstwa Polskiego, że „Solidarność” zajmuje się jakimiś rybami. Oczywiście, było również zbieranie pieniędzy dla internowanych i ich rodzin, utrzymywano kontakt z Arcybiskupim Komitetem Pomocy Więzionym i Internowanym przy Kurii Metropolitalnej w Krakowie, w którym bardzo aktywnie działało szereg osób związanych z Tajną Komisją.

AMK – *Czy zbiórki pieniędzy przynosiły znaczne kwoty?*

MP – Bywało z tym rozmaicie. Pomoc była okazywana w różny sposób, pochodziła z wielorakich źródeł. My okazywaliśmy pomoc, nam ją okazywano... Konwoje z pomocą, jako takie, do nas nie docierały, nie było zresztą takiej konieczności. Natomiast płynęła różnaita pomoc dla ludzi potrzebujących, którzy byli w trudnej sytuacji rodzinnej, wielodzietni lub dotknięci jakimiś zdarzeniami losowymi. Odpowiednie organy powoływał rektor lub dziekani, a wśród powołanych znajdowali się ludzie „Solidarności”, m.in. profesor Wojciech Maria Bartel kierował komisją udzielającą młodym ludziom pożyczek.

AMK – *Jak głęboka była konspiracja? Skoro kupowaliście ryby na święta, to nie mogła być bardzo głęboka...*

MP – Nie było przecież formalnego zakazu, który by tego zabraniał. Niełatwo byłoby to zaskarżyć. Ryby nie miały znaczka „Solidarności”, tylko w domyśle pozostawało, kto za tym stoi.

A co do konspiracji, to była ona specyficzna, odformalizowana, polegała na kontaktach przede wszystkim ustnych (szczęśliwie nie mieliśmy nigdy do czynienia z efektem „głuchego telefonu”). Można powiedzieć, że byliśmy wszędzie i nigdzie. Tam jednak, gdzie trzeba było, zachowano konspirację bardzo głęboko.

AMK – *Czy mieliście poczucie, że w każdej chwili mogliście zostać aresztowani?*

MP – Każdy pewnie miał to jakoś wkalkulowane, żołnierz na froncie też może w każdej chwili zginąć. Wykonywaliśmy po prostu to, co do nas należało, i tyle.

AMK – *Czy w stanie wojennym był Pan przesłuchiwany przez Służbę Bezpieczeństwa?*

MP – *À la guerre comme à la guerre...* Oczywiście, że byłem, jak większość z nas, przesłuchiwany. Z tym musieliśmy się liczyć. Wiedziałem, że mam do czynienia z przeciwnikiem, w żaden sposób nie zamierzałem ułatwiać mu zadania: dać się złapać, internować. Wiedziałem, że gra nie jest równa, nie wymagała ode mnie szczerości. Przesłuchujący nie mieli na mnie szczególnych haków, bardziej przekonywali do tezy, jak niezbędny był stan wojenny. Skończyło się ostatecznie na wymuszeniu stwierdzenia o przestrzeganiu jego przepisów. O przesłuchaniu informowałem szczegółowo swoich. Wymuszonego przestrzegania przepisów stanu wojennego nie traktowałem zobowiązująco, dlatego też kontynuowałem działalność podziemną. Wiedziałem jednak, że gdyby nastąpiła wpadka, to moja sytuacja byłaby już raczej trudna. Szczęśliwie wpadka nie nastąpiła.

AMK – *Podobno niektórzy w Tajnej Komisji obawiali się, że pani Barbara Niemiec łamie zasady konspiracji, przychodząc np. na spotkania z bibułą, którą wyjmowała z kieszeni płaszcza.*

MP – Nie wiem, nie sprawdzałem, co kto ma w kieszeni. Natomiast pani dr Barbara Niemiec znana była z zamiłowania do ryzyka. Powiedziałbym, że potrafiła niekiedy działać na granicy ekstremalnej. Ale jeżeli coś takiego robiła, to przede wszystkim na własny rachunek, i była lojalna w stosunku do Tajnej Komisji, nawet wtedy, kiedy nie zgadzała się z jakimiś jej opiniami. Nic o Tajnej Komisji przez nią nie wyszło na zewnątrz.

AMK – *Jak ocenia Pan głośną „listę Barbary Niemiec”?*

MP – To też temat na dłuższą rozmowę. Najkrócej rzecz ujmując: tzw. TW można z grubsza podzielić na tych, którzy to robili z własnej woli, tych, którzy to robili dla pieniędzy, i tych, którzy wpadli w gęste oczka sieci rozciągniętej przez SB. Dwie pierwsze kategorie pozostawiam bez dyskusji, nie budzą wątpliwości. Co do trzeciej zastosowałbym zasadę obowiązującą historyka: *audiat et altera pars*. Jakże często byli to ludzie dramatycznie uwikłani, czasem rozpaczliwie usiłujący się z tego uwolnić. Dziś mamy do czynienia z podwójną ich odpowiedzialnością: wcześniej złapani przez SB, teraz postawieni pod pręgierzem. Tymczasem, jak się wydaje, każdy ma prawo do indywidualnej oceny winy. Nie można tego robić, jedynie opierając się na – często wątpliwym – zapisie SB, nie można publikować mechanicznie sporządzonych przez służbę list. SB nie jest i nie może być jedynym świadkiem.

AMK – *Czy były jakieś wskazówki, że SB przeniknęło w struktury Tajnej Komisji?*

MP – Nie mieliśmy powodu tak sądzić i nie ma (przynajmniej jak dotąd) na to żadnych dowodów.

AMK – *Mnie nie było w Polsce od 3 sierpnia 1981. Profesor Tomasz Dohnalik, członek Tajnej Komisji, uważa, że po upływie kilku lat entuzjazm i zaangażowanie ludzi znacznie zmalały.*

MP – Przepraszam, nie wymieniłem go wcześniej. Entuzjazm z natury rzeczy nie jest stanem, który trwa permanentnie. Musi opadać. To wszystko trwało stosunkowo długo. Ale przecież trudno też spodziewać się, że po jednym tupnięciu wszystko się rozleci. Nie na darmo uważa się cierpliwość za cnotę. Z drugiej strony coraz wyraźniej było widać, że czas poświęcony na rekonstrukcję PRL-u to czas stracony.

AMK – *Czy potrafi Pan ocenić, ilu ludzi mogło być w jakiś sposób zaangażowanych w działalność podziemnej „Solidarności”, nie wliczając jedynie sympatyków?*

MP – Takich obliczeń nie prowadziliśmy, ale też nie czuliśmy się wyobcowani, wyrzuceni na margines. Przy tej okazji chciałbym dodać, że nigdy wcześniej ani później nie spotkałem tak wielu wspaniałych ludzi, bezinteresownych, zaangażowanych, oddanych Sprawie, zarówno w czasie oficjalnej, jak i podziemnej „Solidarności”. Możliwość wspólnej pracy z nimi to dla mnie ogromny, pewnie ponad miarę, zaszczyt. Pragnę za to najserdeczniej wszystkim podziękować. Nie chciałbym, aby zabrzmiało to zbyt pompastycznie, ale bez tego wielkiego, zbiorowego wysiłku, dziś często niedocenianego, zapomnianego, żadne dokonania nie byłyby możliwe.

AMK – *Jeszcze o jednym. W 1988 roku, na 70-lecie odzyskania niepodległości, zorganizował Pan, jako dyrektor Instytutu Historii UJ, sesję naukową i wygłosił na niej wykład: „Europa Środkowa w oczekiwaniu niepodległości”. Zapewne miał Pan poczucie, że zbliża się koniec tego systemu. Jak to według Pana miało wyglądać?*

MP – Ma Pan duże zaufanie do mojej pamięci. Sądzę, że wtedy zajmowaliśmy się raczej okresem po I wojnie światowej i Europą, jaka się wówczas kształtowała, jej wykorzystanymi i zmarnowanymi szansami, przede wszystkim na ewentualną współpracę. Historycy zajmują się przeszłością, politolodzy i socjolodzy spekulują na temat przyszłości. Myślę, że pokojową ewolucję, uwzględniając doświadczenia z początku wieku, trudno było przewidzieć.

AMK – *I początków wieku nie wystarczy... Po Poznaniu, Budapeszcie, Czechosłowacji, polskim Wybrzeżu...*

MP – Właśnie. Wszechobecna propaganda (choć czasem lekceważona), brutalne doświadczenia własne i sąsiadów zdawały się pozbawiać złudzeń.

AMK – *To była już jesień 1988. Czy miał Pan swój scenariusz?*

MP – Tu nie tyle chodziło o scenariusz. Wtedy już było wiadomo, że stan wojenny nie spełnił oczekiwań pokładanych w nim przez jego twórców, co więcej, że kryzys systemu zatacza coraz szersze kręgi, sięgając nawet Moskwy, a ta nie ma już dawnej swobody działania i możliwości bezkarnego i krwawego tłumienia wszelkich doktrynalnych odstępstw. Pojawiła się możliwość zmian na drodze politycznej i pokojowej, w historii Polski bez precedensu. Teoretycznie można to było przewidywać, praktycznie było to bardzo trudne, nieoczekiwanie jednak okazało się właśnie możliwe.

AMK – *W ostatnich miesiącach trwania systemu był Okrągły Stół, powtórne zalegalizowanie „Solidarności”, a potem przygotowania do wyborów 4 czerwca 1989. Czy działał Pan również w okresie przed tymi wyborami?*

MP – Już nie tak aktywnie. Przeprowadziliśmy „Solidarność” przez czas wojenny, trochę poturbowaną, ale całą. Skończyła się nasza długa kadencja. Sądziłem, że nadszedł czas nowych wyborów i nowych ludzi. Jak się okazało, tych nie brakowało, chociaż patrząc z perspektywy czasu, poszli drogami, które niełatwo do końca aprobować.

AMK – *Jak z perspektywy czasu patrzy Pan na tamte lata? Na pewno warto było, to już jest przecież zupełnie inny kraj.*

MP – No właśnie. Po trosze sam Pan odpowiedział na swoje pytanie. Warto, pomiędzy mniej lub bardziej uzasadnionymi utyskiwaniami, uzmysłowić sobie ogrom drogi, jaką przebyliśmy. Młodzi ludzie, wtedy porodzi, dziś

już dojrzali, wszystko traktują jako oczywiste. I dobrze, bo o to chodziło, ale nie potrafią wyobrazić sobie, czym był ten system i ten kraj.

AMK – *Moja teoria na temat młodych gniewnych jest taka: jeżeli znani mediowiści piszą o średniowieczu, to też nie znają tej epoki z własnych doświadczeń, ale jednak wcześniej się czegoś nauczyli, a ci młodzi dzisiaj – wydaje się – że niczego.*

MP – Może nie ma jeszcze odpowiedniego dystansu. Nie docenia się rzeczy na pozór oczywistych, choćby swobody poruszania się, kolosalnej zmiany – mimo wszystko – jakości życia (ulice zapchane samochodami kojarzą się dziś po prostu z dyskomfortem), wolności słowa. Powiedzieć można wszystko. Media potrafią to cynicznie wykorzystać, politycy także. A co do średniowiecza, to wiedzę o nim przekazują specjaliści, jej przyswojenie zaś wymaga intelektualnego wysiłku.

AMK – *Zanika odpowiedzialność za słowo.*

MP – To jest przykład nadmiaru wolności i nadużywania demokracji, a demokracja to wspinały instrument, tylko bardzo delikatny.

Tekst autoryzowany 14 stycznia 2010